



JA SAM ZOSTAŁEM EUROPEJCZYKIEM... W INDIACH.

Rozmowa z Krzysztofem Byrskim, wybitnym polskim orientalistą.

Dnia 1 lipca 2025r. - jako uzupełnienie cyklu rozmów o początkach „Bednarskiej” w ramach projektu dokumentacyjno-naukowego realizowanego przez Stowarzyszenie Dobra Edukacja przy wsparciu Fundacji PZU – rozmawiają Bartłomiej Pielak (wicedyrektor I SLO BDNR *) oraz Jan Barchoń (licealista z I SLO IB *).

BP: Panie Profesorze, jako posiadacz orderu Budowniczego I Społecznego Liceum Ogólnokształcącego, bardzo dziękujemy za przekazany dziś depozyt. Proszę przybliżyć nam swój związek ze środowiskiem „Bednarskiej”. Od czego zaczęła się ta przyjaźń?

KB: To przede wszystkim jest uniwersytet. Pod koniec lat 80. zaczęło zmieniać się trochę rzeczy. Społeczeństwo zaczęło się burzliwie organizować - obywatelskie społeczeństwo. I brat pani Starczewskiej, profesor Bogusławski, był związany z uniwersytetem. Myśmy się znali. Nie przypominam sobie, żeby to on bezpośrednio się do mnie zwrócił z prośbą o gościnę dla ludzi, którzy chcieli myśleć o nowym typie edukacji – niesterowanej ideologicznie, niezależnej – społeczna szkoła. A jednym słowem – społeczna inicjatywa. Chodziło o to, żeby o szkolnictwie myśleć w kategoriach wolnych od ideologii, od ideologii komunistycznej – to partia komunistyczna wtedy ściśle wszystko kontrolowała. Pani Krystyna Starczewska wraz z grupą nauczycieli szukała – że tak powiem – bezpiecznego miejsca, gdzie można by było się spotkać i „knuć” – bo to się tak nazywało. No, nie pamiętam, czy profesor Bogusławski pośredniczył w tym wszystkim, ale ostatecznie trafiono do mnie, do orientalistów. Powiedziałem wtedy: „Słuchajcie, najbezpieczniej będzie u nas, bo u nas odbywają się seminaria, przychodzą ludzie, siadają...Mamy taką salkę konferencyjną – większą – tam w budynku Szopenowskim na Uniwersytecie Warszawskim.” Niestety, dziś został tam tylko dziekanat orientalistyki i chyba hebraistyka, a cała reszta orientalistyki przeniosła się na Hożą. Ale wtedy właśnie, w sali im. profesora Schayera, odbywały się te spotkania, rozmowy. Sala była często wolna po południu. Też wtedy tam dyżurowałem, żeby – że tak powiem obrazowo - „uprawomocnić” ich obecność. I sam tam sobie „dłubałem” swoich Indusów. Tak rozpoczął się kontakt z tym przedsięwzięciem. No i jak już się na tyle otworzyły możliwości, że można było zacząć wychodzić z tą ideą na zewnątrz... Z tego co pamiętam, przy ulicy Bednarskiej chyba był komitet wojenny. Gdy zmienił się rząd, to partia - że tak powiem, „wycofała się” stamtąd - budynek został przeznaczony

na szkołę.

JB: Czy mógłby pan opisać swoją znajomość z panią Krystyną Starczewską? Jak ją wspomina z tamtych lat?

KB: No właśnie... właściwie prawie wszystko już powiedziałem. Tak poznałem panią Krystynę Starczewską, bo to właśnie pod jej batutą zbierała się ta grupa ludzi. Ogólny pomysł był jej. To ona była tym motorem. W tamtym czasie nie przypominam sobie, żebym prowadził z nią rozmowy na ten temat. Dopiero kiedy usłyszałem o tym szukaniu patrona dla szkoły, bezpośrednio już się z nią skontaktowałem. W każdym razie pamiętam, nie wiem, czy to oddaje ówczesną atmosferę, ale zelektryzowała mnie informacja, że szkoła szuka patrona. Jeden z nauczycieli, już który tam pracował, młody człowiek zdaje się, niestety zachorował i zmarł, i pojawił się pomysł, by to jego imieniem nazwać szkołę. Ja nie miałem takiej intencji – przepraszam za kolokwializm - „wykolegować” tego nauczyciela.

Ale wtedy przypominałem sobie to życzenie Maharadży: „Kiedy wróćcie do Polski, to nazwijcie moim imieniem jakąś ulicę.” Dużo o tym rozmawialiśmy - doszedłem do wniosku, że nadanie jego imienia jakiejś ulicy byłoby gestem dość martwym. A jeśli nawet ulicę... Marszałkowską...przecież nie zmienimy nazwy Marszałkowskiej... Choć np. Aleje Ujazdowskie przez chwilę były Aleją Stalina. I Belweder był u wylotu Stalina – bardzośmy się cieszyli, że Bierut mieszkał u wylotu Stalina... I Indie zaczęły się pojawiać w naszym życiu politycznym, w stosunkach zagranicznych, więc to się pośrednio przyczyniło do tego, żeby dać jakiś temu wyraz. No i jak sobie przypominałem o tym życzeniu, to pomyślałem sobie, że szkoła to idealne miejsce, by upamiętnić Maharadżę. Tym bardziej, że to był ktoś, kto zaoferował polskim dzieciom, które przeszły przez piekło Syberii, spokojną przystań, dzieciństwo.

To był dla mnie kluczowy i symboliczny most między Polską a Indiami. W ogóle uważam, że nie tylko Polska i Indie powinny się spiąć, ale nawet szerzej - Europa i Indie. My przecież mamy wspólne DNA. Właśnie panu zdradziłem, licząc do dziesięciu po sanskrycku. Nasze języki są mocno spokrewnione. Jest tego zresztą znacznie więcej. To jest też istotne, że język jednak ma wpływ na myślenie, więc moim zdaniem dużo łatwiej nam znaleźć wspólny język z Hindusami niż na przykład z Chińczykami – tak przypuszczam. Ja z Chińczykami nie próbowałem rozmawiać, więc nie mogę być w stu procentach pewny, ale wydaje mi się, że ta wspólnota językowa, ta starożytna wspólnota, ona jakoś... Niemniej to wszystko było w tle tej idei, by właśnie powstała placówka oświatowa, szkoła, nosząca imię Maharadży, Maharadży, który pomógł polskim dzieciom w czasie wojny.

Ta historia była wtedy niemal nieznana. No, znana jedynie w małych środowiskach zamkniętych, ale raczej wszyscy bali się przyznawać do tego. Trzeba bowiem pamiętać, że dzieci te nie miały czasem dokąd wracać - w wielu wypadkach to nie był powrót do ojczyzny, bo ojczyzna była w Związku Radzieckim, a oni przecież zostali wywiezieni bliżej wschodnich terenów Rzeczypospolitej. Także to nie do końca był taki powrót do własnego domu, z którego wyszli. Ale w kontaktach z Indiami właśnie pomógł im okres wojenny, kiedy te dzieci tam były, a rząd londyński przysyłał tam przecież swoich ludzi - opisywała to w swojej książce Kira Banasińska - jak to wyglądało, jakie były problemy, jakie były dyskusje. Ona bardzo się angażowała w opiekę nad dziećmi. To jest ważne - nie tylko Maharadża opiekował się dziećmi, ale również rząd londyński. Głównie rząd londyńskiłożył pieniądze na utrzymanie dzieci. Niemniej w Indiach wielu ludzi miało sympatię do Polski – choć nie pamiętam dokładnie, z czego to wynikało...

BP: Czyli można powiedzieć, że Krystyna Starczewska przejęła zaufanie Maharadży z całym zestawem, bo też rozumiem, że potem ona dbała o kontakty z dziećmi Maharadży.

KB: Tak, ja jestem jej za to ogromnie wdzięczny. Potocznie mówiąc - kupiła ten pomysł. Pan Stypuła też odegrał dużą rolę – był żywym świadectwem tej historii. Ale to pani Krystyna przyjęła tę sugestię. Przecież równie dobrze mogła powiedzieć, a gdzie tam Indie, może jednak Mickiewicz, może Słowacki... Myślę, że nie mam co do tego wątpliwości, że Pani Krystyna była tutaj kluczową osobą. Gdyby ona nie - w cudzysłowie - kupiła tej idei, to pewnie by się nie udało. Ona zaufała.

Miała ogromny wpływ na młodzież i całe to środowisko. Ale też ostatecznie odbyło się głosowanie. Dzisiaj muszę powiedzieć, że mi serce rośnie, kiedy uczestniczę w Państwa przygodach, spotkaniach z ambasadą, kiedy słyszę o podróżach młodzieży. Tak, o to właśnie chodzi - byśmy byli otwarci na świat. Myślę również – warto i mam nadzieję, że w ten sposób staniemy się naprawdę Europejczykami. Bo ja sam zostałem Europejczykiem... w Indiach.

Redakcja: Joanna Kucharczyk

Oprawa graficzna: Michał Bisiorek

* Pełna nazwa szkoły: I Społeczne Liceum Ogólnokształcące z oddziałami międzynarodowymi im. Maharadży Jam Saheba Digvijay Sinhji. Szkoła funkcjonuje na dwóch terytoriach: „Bednarska” (I SLO BDNR) oraz IB Raszyńska (I SLO IB).